

## Hajże na Bieszczady

Autor tekstu: **Witold Stanisław Michałowski**

**O**d prasowych polemik na temat koncepcji zagospodarowania Bieszczadów minęły lata. Stłamszono, złachmaniono, zmarnowano jedyną szansę uratowania skrawka wspaniałego, bujnego ni to stepu, ni to tajgi — kresowej krainy Bieszczadów. Były unikatem na skalę światową. Oczywiście takie, jakie były: nie zaludnione, zdziczałe, opanowane przez prastary żywiol — zielone morze.

Stanowiły jedną z największych atrakcji turystycznych Polski, znacznie ciekawszą niż mikroskopijne Tatry, czy coraz bardziej zaśmiecone jeziora Mazur. Niestety, stało się. Brak wyobraźni, prymitywizm myślenia, głupota i zwykle cyniczne wyrachowanie nomenklaturowych decydentów przypieczętowały los tego regionu. Towarzysze z centralnego aparatu przewodniej siły narodu i lokalni komunistyczni kacykowie wiedzieli lepiej, co należy uczynić, aby Bieszczady „zagospodarować”, czyli w ich rozumieniu doprowadzić do średniej krajowej. Tych, którzy mieli inne zdanie, po prostu brało się za mordę: zakazywano drukowania nieprawomyślnych poglądów, zmuszano do milczenia, skłaniano do dobrowolnej, rzecz jasna, emigracji.

Decyzją ówczesnych partyjnych władz województwa krośnieńskiego skierowano na przemiał część nakładu nieprawomyślniej — „po uważaniu” PZPR-owskiej „wadzy” — książeczki „Spór o Bieszczady” (W. Michałowski, J. Rygielski, „Sport i Turystyka”, 1976), bezlitośnie zresztą, bo aż o jedną trzecią, skróconej przez cenzurę. Obaj autorzy znaleźli się poza granicami kraju. Zwolennicy polityki faktów dokonanych triumfowali. Tam, gdzie nie pomógł dynamit, nagminnie stosowany przy karczowaniu drzew (choć to zaimportowane ze Wschodu „know how” przez leśników na całej kuli ziemskiej uważane jest za wyjątkowe barbarzyństwo, przynoszące więcej szkody niż pożytku), pod pretekstem konieczności niszczenia chwastów leśnych najcięższe spychacze ruszyły w zarośla szarej olchy i jałowca. Obrócono w perzynę bajkowo piękną dolinę Wołosatego. Zwiezione do odkwaszania połonin wagony chemikaliów, splukane przez deszcz, skutecznie zatrąły kryształowo czyste strumienie. Ustawione w Ustrzykach Górnych tablice informujące o zakazie połowu pstrąga powinny przejść do muzeum czarnego humoru.

Miary zniszczeń dopełniły fermy. Fabryki zwierzęcego ryku i gnoju wzniesiono z pogwałceniem wszystkich elementarnych zasad budowania tego typu obiektów. Ferma, obliczona na 10.000 dorodnych bukatów, produkuje tyle organicznych odchodów, co dziesięć razy liczniejsza populacja ludzka. I taką właśnie fermę zlokalizowano w górze strumienia, przepływającego przez letniskową wieś Wetlina, na zboczach połoniny, o której wiadomo, że wcześniej czy później włączona będzie w obszar parku narodowego. Zawartość silosów na kiszonkę i nawozy fermy na Tarnawie już po paru deszczowych miesiącach niezwykle skutecznie zatrąły nie tylko źródła, ale cały górny bieg Sanu, uznawanego jeszcze w latach siedemdziesiątych za jedną z najczystszych polskich rzek.

Na mocnym człowieku ostatniej dekady, osławionym dyrektorze Brzostowskim, o — przepraszam — eks-towarzyszu dyrektorze Brzostowskim, szefie dębickiego „Igloopolu” — władza ludowa mogła polegać. Miał siłę przebicia i dysponował potężną mocą przerobową podległych mu, rozpełzających się jak macki polipa po całych Bieszczadach przedsiębiorstw. Komunistyczny menager bajdurzeniem o konieczności ochrony przyrody i strefach chronionego krajobrazu, o ekologii, ekosystemach i biotopach absolutnie się nie przejmował. Istniał cel nadrzędny. Dostarczanie wołowiny dla intendentury garnizonów zaprzyjaźnionej armii. Miał oddanych przyjaciół wśród radzieckich generałów. A z przyjaciółmi przecież o pieniądzach się nie rozmawia. Darmową robocizną zapewniali utrzymywani z budżetu państwa, czyli przez ogół obywateli, żołnierze Brygady Nadwiślańskiej Wojsk Ochrony Terytorialnej i kredyty bankowe. Duże kredyty, najczęściej bezzwrotne. Towarzyszowi Brzostowskiemu, tow. Kandeferowi — I sekretarzowi Komitetu Wojewódzkiego PZPR, towarzyszą sekretarzom z Sanoka, Leska i Ustrzyk Dolnych Bieszczady zawdzięczają bardzo dużo. To oni właśnie wysyłali w bój przeciwko rezerwatom przyrody spychacze, asfalt i beton. Oni utopili w gnoju i błocie środki porównywalne z nakładami na budowę Portu Północnego. Ci ludzie i garstka im podobnych bezwzględnych, zadufanych w sobie karierowiczów i nomenklaturowych tępaków bezpowrotnie zniszczyła najpiękniejszy zakątek naszego kraju. Oni — zupełnie realni i konkretni

współobywatele Rzeczypospolitej, znani z imion, nazwisk, adresów, numerów bankowych kont, a także daczy i postawionych za psie pieniądze — dzięki wiadomym układom - willi. I właśnie im należy wystawić właściwy rachunek, podpisany przez biegłych i księgowych, za wymierne nawet w tych inflacyjnych złotówkach szkody i zniszczenia, jakie spowodowali. Wystawić i wyegzekwować — zgodnie z przepisami, duchem i literą obowiązującego prawa. Uzyskane w ten sposób fundusze, zupełnie niewspółmierne zresztą do skali szkód i dewastacji, jakie poczynili, powinno się zainwestować właśnie w Bieszczadach w ochronę przyrody.

Nie do zaakceptowania jest wydawanie pozwoleń na kręcenie fabularnych filmów w Parku Narodowym, a więc lokowanie w nim choćby przejściowo filii fabryk snów z elektrowniami polowymi, ekipami zdjęciowymi, efektami pirotechnicznymi, dziesiątkami ciężkich pojazdów i setkami ludzi.

Zimą 1992 r. w Suchych Rzekach, a więc już na terenie Parku, paru panów i jedna pani z zapalem komenderowali brygdami robotników, pośpiesznie wznoszącymi makietę sowieckiego łagru, w którym więziono głównego bohatera realizowanego właśnie filmu. To, że zgodnie z treścią znakomitej zresztą, mającej charakter autobiograficzny książki Drewnowskiego, łagier znajdował się za kręgiem polarnym, w Republice Kornii, a więc w rejonie świata, gdzie dominuje w szacie roślinnej brzoza i świerk (w otoczeniu Suchych Rzek prawie wyłącznie występuje szara olcha i buk), dla panów filmowców nie miało istotnego znaczenia.

Jak gdzieś ma być dziko, strasznie i upiornie, to właśnie w Bieszczadach. W tym, o dziwo, jest zgodny zarówno *homo sovieticus*, jak i *homo solidaricus*.

Pierwsze pociągnięcia nowej „naszej” władzy w odniesieniu do tego nieszczęsnego południowo-wschodniego skrawka Polski budzą zgrozę i oszołomienie. Jaki cel przyświecał tym, którzy zgodzili się na zorganizowanie światowego zlotu „Rainbow” w Tworylnem? Zlotu tysięcy ludzi, być może w większości prawdziwych miłośników przyrody i natury, którym jednak towarzyszyła olbrzymia liczba różnego rodzaju dewiantów i zwykłych ćpunów. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zgodziłby się na hałaśliwy piknik takiej ciżby w stołecznych Łazienkach, mimo że są do tego dużo lepiej organizacyjnie przygotowane i, moim zdaniem, brzydsze niż ostatnia naprawdę niezupełnie jeszcze zmasakrowana przez człowieka bieszczadzka dolina. Chce międzynarodowe bractwo radzić, spotykać się, chodzić, jak ich natura stworzyła, palić ogniska i trawkę, kochać nago w rzece — proszę bardzo, są do tego celu wytypowane plaże nudystów w Chałupach, w podwarszawskich Błotach. Kosztowałoby to jednak organizatorów kilkaset razy więcej niż śmieszne 1000 dolarów, wpłacone do kasy gminy w Czarnej.

Nic nie wiem o arystokratycznych koneksjach eks-klawisza i ubeka Gawronika, ale na pewno w jego żyłach musi płynąć sporo błękitnej krwi; bo gdy zaszczyił Tarnawę wraz z bandą „goryli” i przyczepami na własne konie do jazdy wierzchem, poleciał opróżnić z dotychczasowych lokatorów hotel robotniczy, w którym miał się zatrzymać, aby nie ocierać się o motłoch. Podobało mu się nawet. Wybrał już miejsce na lądowisko prywatnego helikoptera, gdy kupi cały „Worek”, gdy nareszcie dawne włości „Igloopolu” pójdą pod młotek. Prywatne rancho Gawronika (oczywiście o ile wcześniej biegli prawnicy nie udowodnią mu aktywnego udziału w jakiejś dotychczas nie znanej motłochowi aferze) będzie imponujące. Blisko 2000 hektarów — od Sokolików po Muczne. „Goryle” na pewno sprawnie dopilnują, aby żaden plecakowy włóczęga nie niepokoił koni jaśnie pana.

Następny chętny na „Igloopol” senator Baranowski, główny były współwłaściciel byłej „Westy”, która chciała kupić Wołosate i przy okazji cały poigloopolowski „majdan” w Smolniku, ma poważne kłopoty z udowodnieniem, że nie miał nic wspólnego z próbą wyłudzenia 90 miliardów złotych na niezupełnie poprawnie wypełniony czek. Oraz z osiemnastoma innymi przestępstwami, które zarzuca mu prokurator. „Westa” przestała istnieć pozostawiwszy po sobie niesławną pamięć i dziesiątki tysięcy oszukanych klientów, a szanowny pan senator, gdy pisane są te słowa, siedzi.

Pojawiły się też firmy zagraniczne gotowe hodować bydło, budować pola golfowe i dbać o przyrodę bieszczadzką.

Mr. Aron Weinacht, przedstawiciel Interests Inc., przekonywał na prawo i lewo, że jako Amerykanin będzie szczególnie dbał o sprawy ekologiczne.

Przez parę lat mieszkałem w Kanadzie i pamiętam kampanie prasowe i liczące tysiące ludzi demonstracje przeciwko kwaśnym deszczom, jakie padały w stanie Ontario z chmur napływających od strony amerykańskiego brzegu. Śnieg tam często bywał czerwony, a Kanadyjczycy złorzeczyli na „Bloody Yankies”.

Po angielsku słowo *interests* oznacza zyski i o zyski Aronowi Weinachtowi chodziło. Na pewno nie o ochronę polskiej przyrody.

Angielska firma, która weszła w spółkę typu joint venture z władzami Ustrzyk Dolnych celem prowadzenia luksusowego hotelu w Arłamowie, okazała się, delikatnie mówiąc, niezbyt rzetelna, a jej przedstawiciel ukradł lornetkę w sklepie Jedności Łowieckiej w Rzeszowie.

Mr. Weinacht-junior zamierzał rzekomo w Tarnawie budować pola golfowe i hotele pięciogwiazdkowe. *Feasibility study*, czyli — w tłumaczeniu nieco dowolnym na język polski — analizy techniczno-ekonomicznej projektowanej inwestycji nie przeprowadzono. Pola golfowe musiałyby kosztować wiele milionów dolarów, nie mówiąc już o eleganckim hotelu. Cały szum, jaki pan Aron Weinacht produkował, potrzebny był tylko po to, by różni naiwniacy w kraju nad Wisłą (zakładam, że bezinteresownie) podpisali tzw. list intencyjny, który w pewnych warunkach umożliwiłby panom z Interests Inc. uzyskanie bardzo, bardzo poważnych kredytów i to w dodatku nisko oprocentowanych, najprawdopodobniej zresztą gwarantowanych przez rząd naszego kraju lub rząd Stanów Zjednoczonych. Kredytów, które być może zamierzaliby i zwrócić, ale na pewno nie inwestując w Bieszczadach. Zarobiliby krocie na samej tylko różnicy stopy oprocentowania pomiędzy kredytami przeznaczonymi na inwestycje rolnicze a normalnym kredytem bankowym.

Taki byłby zapewne przebieg wydarzeń, gdyby amerykańska firma Weinachta rozpoczęła realizować swoje interesy na bieszczadzkiej ziemi. Jednak byłoby dużo gorzej, gdyby Amerykanie rzeczywiście zapragnęli prowadzić intensywną gospodarkę hodowlaną, o czym cicho marzyli niektórzy z byłych poigloopolowskich „fachowców”. Na szeroką skalę znalazłyby wówczas zastosowanie anabolidy, sterydy i inne chemikalia, znakomicie przyśpieszające tempo przybywania masy mięsnej na bukatach. W Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej już ich stosować nie wolno. Ale w Europie Wschodniej? Nie miejmy złudzeń.

Bydło wydeptuje setki hektarów łąk oraz brzegi strumieni i cieków wodnych, co musi prowadzić do erozji i nieodwracalnego zniszczenia drogocennej ściółki glebowej. Stada bydła w przyległych do pastwisk obszarach leśnych powodują bardzo szybką degradację, zanik pokrywy leśnej i krzaczastej, a tym samym doprowadzają do zubożenia fauny kręgowców (ptaków i drobnych ssaków), czyli do faktycznego zaniku różnorodności biologicznej. Ten sposób hodowli zwany „Free Range Cattle Raising” uznany został za właściwy na terenach byłego Związku Radzieckiego, gdzie nie ma odpowiedniej liczby chłodni i zamrażalni wołowiny, co powoduje konieczność przetrzymywania żywego bydła na pastwiskach. U nas jest niedopuszczalny.

Jesienią w 1992 r. uczestniczyłem w Użgorodzie na Zakarpaciu w polsko-ukraińsko-słowackim spotkaniu z przedstawicielami Banku Światowego i Fundacji Mac Arthura, która udzielić miała pomocy niedawno utworzonemu Międzynarodowemu Rezerwatowi Biosfery w Karpatach Wschodnich.

Zainteresowani wymieniali kwoty rzędu wielu milionów dolarów, potrzebnych, jeśli właśnie tworzony Rezerwat Biosfery obejmujący po stronie polskiej obszar 108.000 ha ma zacząć prawidłowo funkcjonować, a nie być tylko biurokratyczną fikcją. Niestety, okazało się, że Fundacja Mac Arthura na razie gotowa jest wyłożyć nie 40 mln, jak głoszono w kuluarach, a tylko 5.000 dolarów na ten cel, ale widzi możliwość przeznaczenia nieco więcej, nawet 300 czy 400 tysięcy, jednakże pod warunkiem zaistnienia „właściwego klimatu współpracy” z Bankiem Światowym.

Co to oznacza, w dość zawołowany sposób objaśnili mi panowie Schumacher, Bond i Berwick, a więc oficjalny przedstawiciel i dwaj konsultanci Światowego Banku, po złożeniu oświadczenia dla ukraińskich środków przekazu: że w Polsce będzie udzielony kredyt w wysokości 150 milionów dolarów na restrukturyzację leśnictwa. Znający polskie lasy jak własną kieszeń prof. Stojko ze Lwowa, podobnie jak przedstawiciel strony słowackiej inż. Michalik, nie mogli powstrzymać się od niepochlebnych komentarzy na temat kompetencji tych, co negocjując tak wysoki kredyt, jednocześnie oddają jak gdyby w zastaw własne lasy kapitałowi zagranicznemu.

Konsultantów Banku Światowego w Karpatach ukraińskich tak naprawdę interesowała wyłącznie nie ochrona różnorodności biologicznej regionu, co było oficjalnym tematem spotkania, a lokalizacja jeszcze nie wyeksploatowanych drzewostanów jodłowych. Mimo wielokrotnych usiłowań uzyskania wiarygodnej odpowiedzi — na co ma zostać przeznaczony wspomniany kredyt w Ministerstwie OSZNiL, nie udało mi się jej otrzymać. Panowie z Banku Światowego wyraźnie stwierdzili, że „dobry klimat współpracy”, gwarantuje złożenie we wskazanych przez nich firmach za co najmniej 40% przyznanych kwot kredytowych, tj. za około 80 mln USD, zamówień na sprzęt i urządzenia do pozyskiwania drewna.

Argument, że w przypadku naszego kraju z — było nie było — dość potężnym

przemysłem ciężkim i zbrojeniowym wykorzystywanym obecnie tylko w nieznacznym stopniu, jedynym sensownym rozwiązaniem jest zakup koniecznych licencji na produkcję wspomnianego sprzętu, do nich nie trafiał i trafić nie mógł. Przy całym szacunku i uznaniu dla amerykańskiej technologii należy jednak pamiętać, że Tree Farmer jest dużo prostszy i mniej skomplikowany niż czołgi T-72, które do niedawna produkowaliśmy w nadmiarze. Nieporozumieniem jest również to (nie chciałbym w tym przypadku użyć ostrzejszych sformułowań), że mając parę milionów bezrobotnych, w większości zresztą należących do kategorii chłopo-robotników, a więc tych, którzy wiedzą, że młode drzewka należy sadzić „zielonym do góry”, staramy się o zagraniczne kredyty na zalesianie, zamiast organizować szeroki front robót publicznych w tym zakresie. Nie pretendując do roli eksperta w dziedzinie leśnictwa, mam poważne powody do obaw, że pożyczce 150 mln dolarów z Banku Światowego mogą towarzyszyć nieodwracalne decyzje, które przyniosą złowrogie konsekwencje nie tylko dla bieszczadzskich lasów, ale również okażą się niezgodne z polską racją stanu.

Problem likwidowania bieszczadzkiego „Igloopolu”, który dość często gościł na łamach prasy, nie ma już posmaku skandalu. Z trudem wiążący koniec z końcem ludzie przywykli do tego, że nieliczne garstki cwaniaków, kombinatorów i zwykłych łobuzów z byłą nomenklaturową dyrekcją na czele potrafią bezkarnie kraść, grabić i niszczyć składniki majątku narodowego, bowiem cokolwiek by pisać o igloopolowskich fermach i ziemi, na której gospodarowały, miały wartość dziesiątków miliardów złotych. Małą pociechą jest wiadomość o wszczynaniu dochodzeń przeciwko komornikom, którzy zgadzali się na śmiesznie niskie wyceny sprzedawanych na zaaranżowanych licytacjach traktorów i maszyn. Czas, siły przyrody i fakt, że ostatnia ekipa dyrektorów ferm zapomniała dopilnować, aby je opróżnić z obornika, wymierza osławionym „hokejkom” sprawiedliwość. Z tych, które już runęły, na Krywem nawet nie uda się odzyskać pokrycia dachowego. W tej sprawie winni też są znani z imienia i nazwiska. Im też, podobnie jak poprzednikom, należałoby wystawić rachunek za niewiarygodne marnotrawstwo i brak dozoru nad powierzonym im naszym wspólnym mieniem. Na czele listy winnych pobieranych prawie ministerialnych poborów stoi niewątpliwie mecenas Kwiatkowski, były likwidator Telewizji i „Igloopolu” jednocześnie. Ten uroczy i inteligentny pan nie zrobił literalnie nic, aby przynajmniej zahamować dewastację i grabież majątku, którym zarządzał.

W Rzeczypospolitej Niepodległej najważniejszy jest „biznes”. Żałosny biznes żalosnego biznesmena i tzw. sytuacja obiektywna. Ograniczmy się do paru przykładów. Do wydarzeń, jakie miały miejsce w ostatnich kilkunastu miesiącach w dolinie Sanu, na małym odcinku pomiędzy Zatwarnicą a Rajskim. W tym fragmencie Bieszczadów, który mimo uruchomienia kamieniołomu, ustawienia retort do wypalania węgla drzewnego i poprowadzenia po obu stronach doliny utwardzonych dróg mógł jeszcze od biedy uchodzić jako fragment stosunkowo mało dotknięty ludzkim barbarzyństwem.

W połowie 1991 r. Tworylne zostało przekazane Nadleśnictwu w Lutowiskach, a zdaniem byłego wicewojewody krośnieńskiego p. Pęziola, który tę decyzję podjął, gwarantem, że nie będzie tam prowadzona żadna działalność gospodarcza, miała być zła sytuacja finansowa tego nadleśnictwa. Tak się niestety nie stało, o czym zresztą pan wicewojewoda wiedział doskonale. Na kilkunastu hektarach zrehabilitowanej i odkrzaczonej przy użyciu ciężkiego sprzętu ziemi zostały założone poletka ogryzowe dla zwierzyny, a w ich sąsiedztwie ustawiono ambony dla myśliwych.

Jelenie pozbawione żeru na łąkach i polach, które leżą odłogiem, musiały schodzić z połonin coraz niżej, tym bardziej że jedyny nie zamarzający zimą w Bieszczadach ciek wodny, to San. A na Tworylnem czekała je masakra. Wypuszczone na wolność żubry, które miały uatrakcyjnić pokot nomenklaturowych łowców, powinny wrócić do ogrodów zoologicznych. Jeśli w dalszym ciągu nikt się nimi nie zajmie, szkody w lasach wyrządzą ogromne. Warto zaznaczyć, że Państwowa Rada Ochrony Przyrody nie kontroluje ich poczynań, dopuszczając do tego, że w latach ubiegłych dwukrotnie łącznie przeszło 110 sztuk liczące stada przechodziły wschodnią granicę i nie wracały. W Sanoku za jedno 1000 USD można kupić od ręki czaszkę żubra, na skórę trzeba trochę poczekać. Aż dowiozą.

Bieszczadzka przyroda, bieszczadzka flora i fauna jest dziś zagrożona, niestety, w stopniu dotychczas niespotykanym. Na pierwszy plan w środkach przekazu wybijają się jednak tylko informacje o rzekomym głodzie, nędzy, strukturalnym bezrobociu. Ochrona przyrody w takiej sytuacji zaczyna nabierać aspektów politycznych. „Chrońmy przyrodę! Kto chroni ludzi?” głoszą różnego rodzaju postkomunistyczne sieroty i mnożący się jak grzyby po deszczu lokalni politykierzy.

Bieszczady należą do nas wszystkich, nie tylko mieszkańców południowo-wschodniej części Polski. Należą również do przyszłych pokoleń. Stanowią wielkie bogactwo całego naszego kraju, naszego narodu. Dlatego nie wolno nam zmarnować tego regionu do reszty.

## NA KRESACH RZECZYPOSPOLITEJ

*Tren dla Hrabiny*

*Senne olszyny  
gdzie kiedyś był dwór;  
jałowce czarne,  
jak czarny dym.*

*Grób skryty w trawie,  
murszejący kamień;  
smugi na niebie  
białe już zupełnie.*

*A oto drogi  
przebite na oślep  
tropem gąsienic  
ciągną pod prąd nieba.*

*Tak się rozwiewa  
kamień, imię, sława  
i łaska ciszy  
dana temu miejscu.*

Tak naprawdę Bieszczady zaczynają się w Komańczy. Na pewnej konferencji prasowej dziennikarze z Zachodu zadawali pytania, w której części Syberii leży ta Kuman... Komańcza. Tak im jakoś niepolsko i niesłowiańsko brzmiała nazwa wsi. A gdyby wiedzieli, że od pokoleń zamieszkują ją rody Czurmów, Pengrynów, Czekerdów, Haratynów, zapewne jeszcze bardziej upewnili się w błędnym mniemaniu.

W połowie lat pięćdziesiątych była to wieś deskami zabita — ukryty w lesie klasztor Nazaretanek, kilkanaście cudem ocalałych z pożogi chałup i stacyjka przejeżdżającej raz dziennie kolejki, kończącej trasę w przygranicznym Łupkowie.

Jesienią od wieków wszechwładne panowanie na drogach łączących ludzkie siedziby obejmował chłupoczący żywioł - błoto. Rokrocznie w tłustej, ciężkiej, brunatnej mazi grzęzły po osie pojazdy, łamały nogi zwierzęta. Człowiek też nie mógł dać jej rady. Chyba że wezwał na pomoc biesa. Bies rządził tą krainą. Przenikał do ludzkich dusz, kusił do złego: rozboju, mordu, rabunku. Kupcy z naddunajskich nizin, wędrujący na północ z baryłkami wina, bezlitośnie łupieni przez opryszków, polecali duszę Panu Bogu, gdy przyszło im przekradać się przez ponure knieje krainy biesów — Bieszczady (do dziś nazwę tę nosi położony na zboczach Kanasiówki las). Karpaty pokrywała wówczas nieprzebyta puszcza. Sięgała aż po Dunaj, za którym rozpościerał się ocean stepów, sięgający po Wielki Mur i Huang-Ho, królestwo nomadów. Chińczycy nazywali ich „barbarzyńcami z północy”, *hiungnu* - Hunami. Od nich wywodził swój rodowód turecki szczep Połowców (Kumanów), który z czasem wchłonął inne ludy; koczowników pokonali silniejsi, osiadli sąsiedzi. Niedobitki ścigane przez tępiących ich zawzięcie Mongołów szukały ocalenia w leśnych głuszach. Mieszkańcy Komańczy — Kumanczy, jak mawiają jeszcze starzy ludzie — być może są potomkami owych Kumanów.

Komańcza leży na starym szlaku handlowym, który wiódł przez Przełęcz Łupkowską — „uhorskie wrota”. Nazwa głównej rzeki Bieszczadów — Sanu, jest pochodzenia celtyckiego. Odnalezione w islandzkich klasztorach stare sagi skandynawskie podają, że walki Gotów z Hunami toczyły się w Czarnym Lesie; niektórzy uważają, że Czarny Las, to właśnie kraina biesów — Bieszczady.

Czas zaciera pamięć. Także tych wydarzeń, które miały miejsce w czasach znacznie nam bliższych. Krwawe walki o Przełęcz Łupkowską w czasie I wojny światowej pozostawiły kości

dziesiątków tysięcy żołnierzy — Austriaków, Polaków, Serbów, Niemców, Rosjan, Węgrów, Ukraińców, które lisy dawno już rozwlokły po leśnych jarach. Rozsypało się w proch c.k. imperium. Nie tylko Szwejk nie zamierzał kłaść głowy pod kozackie szable, broniąc życia Najjaśniejszego Pana; pomiędzy Łupkowem i Komańczą zdezerterował cały 94 Praski Pułk Piechoty, łącznie z orkiestrą i kuchnią polową. Błądząc po Magurycznym i Krasnej, można jeszcze dostrzec ślady okopów z I wojny światowej, potrącić nogą leżącą pod warstwą zeschniętych liści, przestrzeloną odłamkiem granatu aluminiową manierkę, ludzki czerep.

Są też pamiątki z czasów, które wielu ludziom jeszcze mocno tkwią w pamięci — z II wojny światowej i z tragicznych lat bratobójczych rzezi, które nastąpiły po niej. Gdy cały kraj przystępował do odbudowy zniszczeń wojennych, tu płonęły wsie, ginęły kobiety, dzieci. Łzy i krzywdy ludzkie wołały o pomstę do nieba. Świątynie, gdzie czczono brodatych unickich świętych, dzieliły los mieszkańców ziemi.

Dziś ikony z sanockiego muzeum znane są w całej Europie. Ocalałe z pożogi cerkiewki pieczołowicie odnawia się i konserwuje. Atrakcja turystyczna, prawie egzotyka.

Trochę żal, że coraz mniej starych, krytych słomą łemkowskich chyz. Rok, dwa i znikną zupełnie. W zamian białą tynków świecą nowe, stawiane z rozmachem domy, prawie wille, z balkonami, tarasami, gankami. Solidne. Murowane. Latem prawie na każdej wiszą tabliczki: „Wolne pokoje”, „Noclegi”. Tak jak w alpejskich wioskach.

Zarastają szuwarami Duszałyńskie Jeziora. Nikt już nie wierzy, że to Zły na ognistej kuli uderzył ongiś z głuchym łoskotem w Steciw Las. Stara Haratyna widziała go ponoć. Kiedy się pojawił ziemia drżała i dzwony same dzwoniły. Zerwała się góra, *chresty* - krzyże odtąd na niej stawiali. Skalne rumowisko Chryszczatej zatarasowało strumień Olchowaty. Zatopiony został szmat boru. Martwe, sterczące z wody kikuty drzew są pamiątką po kataklizmie sprzed kilkadziesiąt lat: Steciw Las na zboczu Chryszczatej znajdował się na trasie przelotu meteorytu. Błotnistej dna jeziorok powstałych w czasie kataklizmu nie badał nikt. Może tkwią tam odłamki ciała kosmicznego...

Kiedy w Ustrzykach Górnych nie było jeszcze knajp, barobusów, campingów, parkingów, setek autokarów i tysięcy, tysięcy ludzi, wschód słońca najczęściej chodziliśmy oglądać na Halicz. Szczękając z zimna zębami, skuleni, siedząc w okopach z czasów I wojny światowej, oczekiwanie skracaliśmy sobie opowieściami, że przy dobrej widoczności, nocą, można dostrzec światła Lwowa i Budapesztu. Nikt ich jednak nigdy tak naprawdę nie zobaczył.

Pasowanie na rycerza turystyki dawała wtedy wyprawa do „Worka”, na Sianki i na „grób hrabiny”. Niedaleko od Przełęczu Użockiej, przytulona jednym bokiem do niewielkiego strumyczka, przedziwnym zrzędzeniem losu ostała się nagrobna płyta Klementyny z Kalinowskich Strońskiej. Dojść do niej trudno. Łany pokrzyw, nigdy nie przecinane sosnowe młodziaki, wysokie trawy utrudniają wędrówkę. Droga prowadząca wzdłuż górnego biegu Sanu obecnie znajduje się poza granicą państwową.

Do „Worka”, za Halicz i Rozsypaniec, szło się na trzy, cztery dni, wracało po tygodniu albo i dwóch. Po chleb czasem posyłano umyślnych do najbliższej piekarni w Stuposianach, ponad trzydzieści kilometrów w jedną stronę. „Worek”... Zarosły zupełnie młodymi drzewkami, przedwojenny gościniec, krzyżujące się tropy dzikiego zwierza. Bezruch, cisza i spokój zielonego morza. Zbite z grubych bierwion myśliwskie chatki na Mucznej, Wołowcu, nad Neryłowem. Parę bacówek, w których jesienią można było mieszkać z ukochaną dziewczyną. Skrzypiący „trianguł” na Jeleniowatym, na którym wyznawała miłość...

Przy żarzących się paru konarach długo w ciepłą noc można było słuchać tajemniczych szeptów karpackiego boru, szmeru kryształowo czystych strumieni, głosów dzikiego zwierza. Samotność. Minęły już lata, gdy studenckie turnusy za wydarzenie dnia uznawały spotkanie na szlaku innych wędrowców. A w „Worku” nadal do niedawna mogłeś być sam. Zupełnie sam. Bezwzględna, naturalna selekcja. Ostre kryterium wagi plecaka i umiejętności chodzenia po górach. Bez żadnych punktów dodatkowych. Ci, którzy tam docierali, mogli być śmiało zaliczani w poczet „Wielkiego Bractwa”, sympatyków Wielkiej Przygody i Wielkiej Wyrpy.

Tylko dla mieszkańców nizinnej części kraju, położonego między Odrą i Bugiem, za góry może uchodzić parę grzbietów i garbów, z których na palcach jednej ręki dadzą się zliczyć wzniesienia przekraczające 1300 m n.p.m. Brak tu imponujących skalnych turni, granitowych ścian. Nie ma też zapierających dech w piersiach przepaści. O przepaszce, jest jedna. Na Rabiej Skale. Idąc graniczną ścieżką, należy uważać, aby przy słupku 15/8 skrócić w nikłą ścieżkę pomiędzy łopiany i karłowate buczki. Widok, jaki się otworzy na dolinę potoku Hlboky i Velky Bukovec, jest rzeczywiście wspaniały. Ale nie popadajmy w przesadę. W górach naszego południowego sąsiada i w Bałkanach podobnych pejzaży jest na pęczki. Z

malowniczymi widokami i rozległymi panoramami w Bieszczadach jest dość kiepsko. Odkąd zmurszały belki wież triangulacyjnych, przegniły szczeble drabin i zwały się wystające ponad korony drzew wieżyce, można całymi dniami przemierzać błotniste „ceprostrady” pasma Chryszczatej, Wołosatego czy Otrytu i nie widzieć nic więcej poza plecami lub piętami poprzednika oraz szarymi pniami buków. Ale są połoniny. „Zaliczyć” je można jednak w niespełna trzy dni. Nie tylko Wetlińską i Caryńską, ale również te na Wielkiej Rawce, Bukowym Berdzie, Szerokim Wierchu i Kińczyku. Tak, właśnie „zaliczyć”. Najczęściej we mgle i deszczu. Słońce dość skąpo obdarza swymi względami „Sanockie Alpy”, a Cisną uważana jest przez meteorologów za swoisty biegun opadów.

Jakież więc atrakcje czekają nas w Bieszczadach? Oczywiście — flora i fauna, prawie egzotyczne. Ale nie przesadzajmy. Gadów jest tu rzeczywiście sporo: powiedzmy, że prawie tyle samo, ile w Górach Świętokrzyskich. A przeważającą większość żyjących tu ptaków, zwierząt, roślin, można, i to znacznie częściej, spotkać na terenie całych Karpat. Jest wszakże zwierzę, którego bezskutecznie szukalibyśmy na całej kuli ziemskiej. Żyje tylko w Jeziorokach Duszałyńskich — endemit dobrze widoczny pod mikroskopem. Nazywa się *Neumania Callosa*, jeśli to kogoś interesuje.

A folklor? Owszem, istnieje. Znałem nawet osobiście paru jego najwybitniejszych przedstawicieli: Piotrka Francuza, Stasia Odlewnika, Leona. Każdy dzień zaczynali jak ludzie, od pół litra na głowę. Są jeszcze „dziwy Bieszczadów” — tak przedsiębiorcza pani z Sanoka nazwała swoje handlowo-kolekcjonerskie przedsięwzięcie, jakim była wystawa kompozycji z hub, korzeni i rosochatych gałęzi. Mówiąc poważnie — nie ma co owijać w bawełnę: folkloru nie ma tu od blisko półwiecza, podobnie jak zabytków.

Bieszczady, XX-wieczna odmiana ussuryjskiej tajgi i ukraińskich Dzikich Pól, kraina zarosłych burzanem pogorzeliisk, podmokłych zarośli, gdzie kluczyło się po ścieżkach leśnego zwierza, wśród głuchych ostępów i rozsypujących się w proch zmarłych od mrozu buków, szukając samotności, przygody, możliwości bezpośredniego obcowania z naturą i sprawdzenia samego siebie. Nie góry, nie step i nie tajga, a bieszczady. Pisane małą literą. To było to, co należało naprawdę chronić, ocalić dla przyszłych pokoleń. Zajmowały promile powierzchni naszego kraju. Kiepskiej, nieurodzajnej ziemi, borów z małowartościowym drzewostanem. Bez zabytków, folkloru i zagospodarowania turystycznego. Nieporównane, fascynujące, unikalne. Ludzie, którzy zdecydowali o ich losie, wiedzieli, że coś trzeba chronić, ale nie bardzo wiedzieli co. Być może powodowani najlepszymi intencjami, nie tylko chęcią „wykazania się”, pragnęli pokazać ich piękno, udostępnić całemu narodowi. Pracownikom wytwórni szczotek z Oławy, koszańskiego PGR-u, dzieciom rzeszowskich przedszkoli i licznym warszawiakom. Po latach wysiłków rzeczywiście udostępnili. Jednak obietnice i plany zagospodarowania mówiące o strefach ochrony krajobrazu, otulinie Parku Narodowego, nie doczekały się realizacji do dnia dzisiejszego. Fakt zniknięcia, zlikwidowania bieszczadów, tych właśnie przez małe „b”, należy traktować w kategoriach „ekonomicznych”.

Na początku lat siedemdziesiątych do redakcji „Kultury”, „Politechnika”, „Polityka” i „ITD” napływały lawiny gorących, sercem pisanych listów o zachowanie południowego skrawka Bieszczadów w kształcie takim, w jakim jeszcze wtedy był. Środowisko akademickie podejmowało w Bieszczadach wiele inicjatyw: patronat ZSP nad Komańczę, budowę wioski turystycznej w Łopience, organizację Jarmarku Bieszczadzkiego. Na dłuższą metę żadna z tych akcji „nie wypaliła”. Spowodowały to przeszkody obiektywne, brak umiejętności znalezienia wspólnego języka z władzami lokalnymi, nieodpowiedzialność ludzi, którzy działali w imieniu studenckich organizacji. Wszystkie studenckie pomysły okupione były ogromnym wysiłkiem grona zapaleńców. Szybko jednak przyszło zniechęcenie. Zapal studentów był zwykle słomianym ogniem, wypalającym szybko entuzjazm garstki donkiszotów.

Studenci zostali daleko w tyle za harcerzami, choć sposób realizacji, a nawet sama koncepcja harcerskiej akcji „Operacja Bieszczady 40” dziś jeszcze budzi kontrowersje.

Stacje na kilkuset druhów, kuchnie polowe z wieloosobową załogą, terenowe „Stary” dowożące zaopatrzenie, nie zawsze jeszcze właściwe zachowanie w górach i niezbyt stosowny do uprawiania turystyki strój — to zarzuty. Ale prawdą są również konkretne dokonania, które „Operacja Bieszczady 40” pozostawiła po sobie.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego zamiast oznaczonej pięcioma gwiazdkami w europejskich bedekerach atrakcji na światową skalę, porównywalnej do przełomu Dunajca, węgierskiej puszczy czy zabajkalskich „zapowiedników”, mamy dziś Bieszczady — dość nieciekawe „kotłowisko” ludzi i pojazdów, w oszałamiającym tempie obrastające górami śmieci,

gołoborzami z puszek po konserwach, ledwie zasypanymi dołami po „sławojkach”?

Ale za to ponad 5 milionów „turystów” odwiedziło Bieszczady już w 1977 roku.

Magia cyfr i czar krzywych wzrostu. Mały procent „turystów” wiedział, po co przy wleczono ich do tego zapyziałego, tonącego w deszczu i błocie zakątka. Większość z nich nie da się nabrać po raz drugi. Co zobaczyli?

Owe „miliony turystów” rzucało się na skalę ocen razem z dawnymi argumentami o bezwzględnej konieczności pozostawienia choć części Bieszczadów w spokoju. Czy stać nas było na pozostawienie niewielu kilometrów kwadratowych jako wybiegu dla garstki plecakowo-wibramowych snobów? To, że garstka rozrosła się w armię, nie miało większego znaczenia. Zwyciężyły inne racje.

Biegu wydarzeń nic nie zmieni, choć czasem może zebrani w gronie przyjaciół z nostalgią wspominamy, ile trudu kosztowało przejście grzbietu Otrytu, noszenie dwutygodniowego zapasu chleba, czy odnajdywanie tonącego w oceanie łopianów i pokrzyw nikłego śladu ścieżki, prowadzącej przez dawną wieś Wołosate. Pozostały po niej tylko zapadające się coraz głębiej rumowiska cegieł, osmalone, butwiejące belki i resztki przycerkiewnych cementarzy. Zarastają zielskiem, tarniną, szybko puszczającą świeże pędy olchą. Nie żałujemy dawnego Wołosatego, krytych słomą kurnych łemkowskich chyz, ludzkiej nędzy, chorób i zabobonów tak strasznych, że nie sposób uwierzyć, iż istniały jeszcze w wieku XX. Przecież pamiętamy owo Wołosate, Tworylne, Łopienkę, Tarnawę czy Muczne, gdzie w zdziczałych sadach bieleły ludzkie kości, pola uprawne gęsto zarastał jałowiec, a w watach płonęły resztki ikonostasów. Takie Bieszczady przetrwają już tylko w legendzie. One właśnie miały być atrakcją dla dewizowych cudzoziemców. Ostatnią w Europie enklawą „pierwotnej, karpackiej puszczy”. Takich Bieszczadów już nie ma i nie będzie, choć dla wielu z nas pozostaną na zawsze krainą pierwszej w życiu i być może ostatniej Wielkiej Przygody, Wielkiej Miłości, Wielkiej Próby. Pamiątką z najpiękniejszych, górnych i chmurnych lat młodości.

## KOWBOJE I STUDENCI

*Sen o Łopience*

*Znów wyśnimy dolinę zimową, drzewa srebrzyste i tęcza w łąkę, mur cerkwi  
kamienny nad zakolem drogi i wąskie niebo nad czarną świerczyną gór.*

*Wspomnimy polanę, gdzie był kiedyś dom i dwieście stopni po wodę, polanę tylu  
wzruszeń, gdy księżyc przedzierał się szczelinami nieba.*

*Znów pójdziemy doliną srebrzystą, błękitną i czarną, rozległe zapadlisko w cieniu  
wysokiej fali, w dół potoku, co płynie przez rumowisko mrozu w głąb kamiennej tarczy  
jeziora.*

Kowbojów było trzech. Dwaj z Krosna studiowali w poznańskiej Wyższej Szkole Rolniczej — określanej w piosence nazbyt może zgrzebnym zamiennikiem „Wysrołu”. Piosenka, której byli bohaterami, zrobiła karierę. Stała się jednym z pierwszych bieszczadzkich przebojów.

Nad Sanem, w sięgających po pas trawach, zarastających nie uprawiane już od blisko dziesięciu lat pola wsi Tworylne, sklecieli rancho. W dzierzawę, na wypas, otrzymali bydło od któregoś z PGR-ów położonych na przeciwległym krańcu Polski. No i zaczęło się. Wymęczone podróżą, nieprzywykłe do deszczowo-upalnej aury górskiej okolicy stado marniało w oczach. Zielona dżungla Otrytu odbijała echo żalosnego ryku tygodniami nie dojonnych krów. Najbardziej dokuczały gzy. Gzy i wilki. Nie było na nie rady. Jedyna broń, jaką mieli kowboje — stara, mocno sfatygowana wiatrówka — groźnie wyglądała tylko z daleka. Chłopcy były jednak twardzi, zawzięci. Po paru miesiącach harówki okrzepli, nabrali doświadczenia, zmężnieli. O efektach finansowo-hodowlanych całego przedsięwzięcia lepiej jednak nie wspominać.

Następnego roku spróbowali jeszcze raz. Wieść gminna mówiła, że z powodu egzaminu, którego nie mogli „przeskoczyć”. W Krywem wybudowali rancho, ale już jako statyści, zatrudnieni przez szefa ekipy kręcącej film „Rancho Teksas”. (Dyrekcja PGR-u nie chciała już więcej eksperymentować). Był rok 1957, szef ekipy płacił dobrze — 50 złotych i wyżywienie. Do najbliższej knajpy w Wołkowyi jeździli wierzchem. Na rumakach docierali rzekomo do samego baru. Otaczał ich wianuszek cichych wielbicielek — panienek, którym powinęła się noga przy maturze, i paru totumfackich, zawsze gotowych podtrzymać strzemień, czy wyczyścić konia.

Obaj bohaterowie zniknęli na jakiś czas z pola widzenia. Odnaleźli się po latach. Jeden osiadł nad Zalewem Solińskim, prowadzi własne gospodarstwo. Odległą zatoczkę nazwano na



jego cześć Zatoką Wiktoriniego. Jego towarzysz założył podobno szary mundur stróżów porządku publicznego. I to jest koniec sagi. Legenda jednak trwa do dzisiaj.

Trzecim bieszczadzkim kowbojem był reemigrant z Jugosławii — Lutek. Tamtych znał tylko z opowieści. Na własnych plecach nosił cement i deski, konieczne do remontu opuszczonej przez harcerzy-studentów „Tawerny” na Połoninie Wetlińskiej — zabawa w Dzikie Zachód na południe od Cisnej znudziła się druhom. Poszukując silniejszych wrażeń, wstąpili do wojsk powietrzno-desantowych. Zanim to nastąpiło, paru „wielkoduchów” z hufca krakowskiego miesiącami koczowało na szczycie Połoniny — proklamując Rzeczpospolitą Wetlińską (księgę pamiątkową ozdabiają fikuśne rysunekzki Adama Macedońskiego). Przed harcerzami „Tawernę” zajmowali żołnierze WOP, a jeszcze wcześniej obserwatorzy balonów z „wolno-europejską” propagandą i stonką ziemniaczaną.

Lutek zwycięsko zmagał się z kolejnymi srogimi zimami. Nie dał jednak rady urzędnikom. Wraz z koniem przeprowadził się nieco niżej, na Przełęcz Wyżną. Wynajmował czworonożnego przyjaciela chętnym do przejażdżki na prawdziwym mustangu. Przebój Jerzego Michotka „Mam domek na połoninie i dziewczę w sukni niebieskiej” trwał tylko jeden sezon — dziewczę opuściło naszego bohatera. On sam po wielu sezonach kierowania campingiem dla zmotoryzowanych turystów w Ustrzykach Górnych wrócił na połoninę i tam chyba dożyje emerytury.

Co roku ruszała na południe. Polski nowa fala kandydatów na pastuchów. Koni, siodeł, bydła i lassa nie mieli. Chadzali za to orężnie, bo przy pasie jeśli nie lśnił topór, co błyszczący z dała, lub coś w rodzaju kubańskiej maczety, to telepał się chociaż zwykły kuchenny „gerlach” w pochwie z baraniej skóry, odwróconej włosom na zewnątrz. Chód i nakrycia głowy mieli oczywiście kowbojskie, powiedzmy - prawie kowbojskie. Prawdziwego kowboja z lassem i ostrogami widziano w Bieszczadach pierwszy raz na okładce turystycznej mapy. W kolejnych wydaniach nawet tam nie znaleziono dla niego miejsca.

Studenci masowo pojawiali się w Bieszczadach w połowie lat pięćdziesiątych. Datę można określić w miarę precyzyjnie, bowiem na przełomie 1954 i 1955 roku zniesiono ograniczenia związane z poruszaniem się w strefach przygranicznych. Akademicka brać wykorzystwała nową sytuację natychmiast. W Radzie Naczelnej ZSP zrodził się pomysł penetracji Bieszczadów i Beskidu Niskiego — jego realizację zlecono środowisku warszawskiemu. Latem 1955 roku ruszyły z Zagórza pierwsze dwa turnusy wędrownych wczasów studenckich. Rok później było ich już dwanaście. Dostać się na taki turnus było trudniej niż zdać konkursowy egzamin na studia. Na jedno skierowanie przypadało od pięciu do dziesięciu chętnych. Decydowały również punkty zdobytej wcześniej Górskiej Odznaki Turystycznej i wycieczki kondycyjne, kwalifikacyjne, jak się wówczas mawiało, a prawdę mówiąc nieprzytomne „wyrypy” w Puszczy Białej, prawie marszobiegi z plecakami, kończone biwakami.

Szczęśliwcy, którym udało się zostać wczasowiczami, spali na gołej ziemi, owinięci w cieniutkie, mocno wyświechtane koce. Luksus w postaci dmuchanych materacy, śpiworów, kocherów, plecaków ze stelażem, butów na wibracji stał się dostępny żakowskiemu braci znacznie, znacznie później. Za namioty przez pierwsze parę lat akcji letnich służyły otrzymane z wojskowego demobilu pałatki. Istniały szkoły noszenia ich i rozpinania dla dwóch, czterech i większej ilości osób. Maszty oczywiście wycinano z leszczyny lub olchy. Wnętrze wyścielano gałązkami świerków lub jodeł. Dwie dobrze naostrzone siekiery i łopata musiały być „na stanie” każdego kilkunastoosobowego turnusu. Na dwa tygodnie wędrowki zabierało się około ćwierć tony żywności. Samego chleba co najmniej 100 kg. Dla zdrowego chłopca po prostu było niehonorowo nosić plecak ważący mniej niż 30 kilogramów. Płeć piękna, jako że delikatniejsza, nosiła o jedną trzecią lżejsze „kosmetyczki”. Wyjątki, nader częste, bywały spowodowane wyższą koniecznością: na standardowej trasie z Komańczy do Halicza przy dużej dozie szczęścia zapas konserw uzupełniało się dopiero w Cisnej lub Kalnicy.

Odoczynek następował w Ustrzykach Górnych, gdzie pierwszą namiotową bazę studencką rozbito dopiero w 1959 roku obok zrujnowanej doszczętnie cerkwi. Do tego czasu przemoknięci wędrowcy, bo w Bieszczadach zawsze prawie panowało „deszczowe lato stulecia”, znajdowali przytulisko w opustoszałym kurniku. Obiekt ten, jedyny jako tako ocalały budynek, stał nie opodal paru baraków zajmowanych przez żołnierzy i konie ze strażnicy WOP. Choć kurnik miał powierzchnię niewiele większą niż kuchnie w nowoczesnych M-3, nie zanotowano wypadku, aby nie zmieścił się tam któryś z turnusów, a także różni niespodziewani goście, tacy jak na przykład słynny Radzik żmijołap.

„Wielkie Bractwo” — z początku towarzyski klub tych, co przeszli Bieszczady i przeżyli ten

fakt w jakiej takiej formie — można uważać za duchowego przodka Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich. W roku 1992 obchodziło swoje trzydziestopięciolecie. Dziesiątki tysięcy uczestników różnych prowadzonych przez Koło imprez. Około 52.000 przepracowanych społecznie dniówek przewodnickich. Przeszło 250 wydawnictw poświęconych regionowi, z zyskującymi uznanie specjalistów rocznikami „Magury” i „Połoniny”. Ogromny, trwały dorobek w udostępnianiu turystycznym Bieszczadów.

Przewodnicy z SKPB bardzo wielu pokazali urok tego regionu, nauczyli uprawiania turystyki, wrażliwości na piękno przyrody. Dziś ojcowie rodzin, mocno szpakowaci, niekiedy z „wysokim czołem”. Utytułowani. Po habilitacjach, stypendiach zagranicznych, nominacjach na dyrektorów i doradców ministrów, pokazują góry swojej młodości dorastającym synom. Chodzą z plecakami i namiotem. Samochody zostawiają na parkingach. Są niekonsekwentni. Walczą o niezagospodarowanie choćby skrawka Bieszczadów, pozostawienie go nietkniętego zębami piły i walcem drogowym.

### **Witold Stanisław Michałowski**

Pisarz, podróżnik, niezależny publicysta, inżynier pracujący przez wiele lat w Kanadzie przy budowie rurociągów, b. doradca Sejmowej Komisji Gospodarki, b. Pełnomocnik Ministra Ochrony Środowiska ZNiL ds. Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery Karpat Wschodnich; p.o. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Budowniczych Rurociągów; członek Polskiego Komitetu FSNT NOT ds. Gospodarki Energetycznej; Redaktor Naczelny Kwartalnika "Rurociągi". Globtrotter wyróżniony (wraz z P. Malczewskim) w "Kolosach 2000" za dotarcie do kraju Urianchajskiego w środkowej Azji i powtórzenie trasy wyprawy Ossendowskiego. Warto też odnotować, że W.S.M. w roku 1959 na Politechnice Warszawskiej założył Koło Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. [Więcej informacji o autorze](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 20-05-2005)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4147) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4147>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów

serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)